

Leszek Bugajski

Opowieści o powieści



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

O tym i o tamtym (może to wstęp)

To nie jest książka krytycznoliteracka. Tak mi się wydaje. Nie wytycza granic, trendów, nie zapowiada zmiany jakiejkolwiek warty ani nie obwieszcza literackiej rewolucji. Nie ma w niej uzurpacji – jest pokora wobec wspaniałego zjawiska, jakim jest beletrystyka. Pokora zwyczajnego czytelnika, faceta, który lubi literaturę niezmiennie od kilkadziesiąt lat. Bo ona go bawi, zachwyca, wzrusza, a niekiedy również po prostu nudzi. I z reguły nie prowokuje do głębokich badań. Przecież kiedy idę do lasu czy na łąkę i podoba mi się to, co widzę, czy mnie obchodzi, kto tu jest nagozależkowy, a kto okrytozależkowy? Wcale. Czy w tym zachwycie przychodzi mi do głowy, że lepiej by było, gdyby to czy tamto drzewo rośło w tę czy inną stronę, albo że trawę trzeba by lekko przyszczyć? Raczej nie. Jest jak jest. A poza tym nie mam skłonności, żeby cokolwiek porządkować, a jedynie patrzeć i podziwiać. Mam chyba naturę spacerowicza.

Mimo wszystko wołają na mnie: „krytyk literacki”. Nie dziwi mnie to – trzeba jakoś nazywać faceta, który czyta i opisuje to, co przeczytał. Ale taka etykieta chyba nie do końca do mnie pasuje, choć sam używam jej przy rozmaitych okazjach, bo nic lepszego

nie wymyślono. Niby jak inaczej – gawędziarz? Też kiepsko. Kiedy zaczynałem, oczywiście zależało mi na tym, by postrzegano mnie jako krytyka literackiego, niemniej w miarę wpływu kolejnych dekad czytania-pisania dostrzegałem, że oddalam się od standardów krytyki literackiej, która coraz bardziej zrasta się z literaturoznawstwem, ba, dzisiaj jest już wręcz polonistyczną specjalnością, której uczą na uniwersytetach. A mnie zależy na tym, żeby najciekawiej, jak umiem, opowiadać o literaturze, a nie ze skalpelem w ręku dokonywać jej sekcji.

Jaki jest tego skutek? Dla mnie miły, bo mam z tej roboty same przyjemności. Ale i na przykład taki – przenosząc się już na obszar gier krytycznoliterackich – że nie mogę uwierzyć w to, w co chyba wierzą wszyscy jego mieszkańcy, czyli że w 1989 roku nastąpiła w polskiej literaturze jakaś istotna zmiana. Niby jaka? Literatura powstaje, jak powstawała, jej język się nie zmienił, zmieniły się tylko warunki, w jakich się ona pojawia. Jasne, urósł jej gigantyczny komercyjny garb, ale korzystać z tego taka, że wydawcy wiążą koniec z końcem i od czasu do czasu wydają jakąś prozę artystyczną (poezja to ma raczej przechlapane). Zmieniała się rzeczywistość, na którą literatura patrzy i którą opisuje, ale nie narzędzia, którymi się posługuje. Te literackie przemiany i odrodzenia to skomplikowany proces i nie zachodzi on po każdej politycznej „przewrotce”, a prawdę mówiąc – po żadnej, chyba że wymusza go literacka policja. Literatura odgrywa, mówiąc w uproszczeniu, taką rolę jak lornetka: nie od niej zależy, co znajduje się przed jej obiektywem, a zasada działania jest niezależna od obserwowanego obiektu. Byle było dobrze widać. Filozofii w tym nie ma.

Jeśli jakaś zmiana rzeczywiście nastąpiła, to pokoleniowa: część pisarzy nie chciała albo nie potrafiła funkcjonować

w komercyjnych realiach, śmiało zagarnianych przez nowych konkwistadorów, a nowi wydawcy uznali istniejących pisarzy za „PRL-owskie złogi”. Kto wie, może nawet nie mieli pojęcia, że tacy w ogóle żyją, a jeśli mieli, kiepsko oceniali ich potencjał rynkowy. Lista zaginionych w akcji jest długa – wolny rynek nie zna litości. W nowych warunkach tak naprawdę przetrwało bez strat dwóch pisarzy: Wiesław Myśliwski i Janusz Głowacki. Nie musieli się na nowo odbudowywać po transformacji ustrojowej i przez ostatnie trzy dekady (dopóki Głowacki nie umarł) obaj wydawali się filarami polskiej literatury, zaświadczała swoją twórczością o jej trwałości i zrównoważonym rozwoju. Od powagi i mądrości, które starannie skrywały delikatną ironię i dystans, po ironię, która maskowała powagę i mądrość. O nich przede wszystkim opowiada ta książka, i o kilkunastu najciekawszych moim zdaniem powieściach. No i niestety opowiada też o innych sprawach, bo jak to napisał Głowacki, „jak się pisze o kimś, to się i tak zawsze pisze o sobie”. Czemu trzeba z zażenowaniem przyznać rację.

Koronowana

Olga Tokarczuk laureatką – przyznanej z rocznym poślizgiem – literackiej Nagrody Nobla za rok 2018! Wygląda na to, że literatura jest w Polsce potęgą – w żadnej z pozostałych noblowskich dyscyplin nie odnosimy nawet zbliżonych sukcesów.

Kiedy kilkanaście miesięcy wcześniej autorka *Biegunów* (2007) otrzymała prestiżową brytyjską Man Booker International Prize, napisałem, że „Olga Tokarczuk wsiadła do windy, która może ją zawieźć na szczyt i sprawić, że stanie się ona pisarką światowej sławy”. Mało komu przychodziło wtedy do głowy, że przepowiednia może spełnić się tak szybko. Wprawdzie od miesięcy mówiło się i pisało wiele o Tokarczuk, także w kontekście nadchodzącego Nobla, i to – co ciekawe – więcej w czasopiśmie anglojęzycznych czy skandynawskich niż polskich, jakbyśmy musieli potwierdzać słuszność powiedzenia, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. U nas dominowało jednak przekonanie, że jeśli już, to za jakiś czas, że jeszcze za wcześnie. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że Polacy muszą cierpliwie czekać na akceptację na międzynarodowym forum, rozpałujemy to, że Różewicz nie dostał Nobla, choć przecież powinien,

że Iwaszkiewicz w milczeniu dławił coroczne rozczarowania, tłumacząc je sobie tym, że przyjął nagrodę leninowską, i to, że Andrzejewski nie krył swoich noblowskich ambicji ani niechęci do kolejnych laureatów nagrody.

A tu się okazało, że można w krótkim czasie zyskać uznanie międzynarodowej krytyki, zdobyć międzynarodową popularność, „skosić” kilka ważnych literackich nagród (w lipcu 2019 na przykład nagrodę Laure-Bataillon dla najlepszej książki przełożonej na język francuski) i triumfalnie, jakby bez wysiłku, wejść na sam szczyt – usłyszeć werdykt noblowskiego komitetu i zacząć myśleć o przemowie, którą trzeba będzie wygłosić 10 grudnia 2019 roku. Swoją drogą, obrady noblowskiego komitetu muszą gdzieś „przeciekać”, mimo klauzuli pięćdziesięciu lat milczenia, skoro skandynawskie media konsekwentnie stawiały na naszą autorkę, twierdząc, że to „przede wszystkim Polka Olga Tokarczuk powinna otrzymać Nobla”. Największy szwedzki dziennik, „Dagens Nyheter”, w weekend poprzedzający ogłoszenie werdyktu opublikował nawet obszerny wywiad właśnie z Tokarczuk, a nie na przykład z Margaret Atwood: od dawna typowaną do Nobla, znaną na całym świecie lepiej od Tokarczuk i będącą na fali wielkiej popularności po sukcesie serialu *Opowieści podręcznej*.

Tajemnica sukcesu

Pytanie brzmi zatem: czym Tokarczuk ujęła międzynarodową opinię literacką? Co się w niej podoba? Jej pisarstwo rzeczywiście zdecydowanie wyróżnia się *in plus* na tle polskiej literatury – z natury jakby nieśmiałej, introwertycznej – bo jest swobodne

i otwarte na problemy, jakimi żyje współczesny świat. Tokarczuk z niezwykłą intuicją i wyczuciem trafia w powszechne zainteresowania i potrafi je znakomicie przekształcić w opowieści. Ale z naszego punktu widzenia i zgodnie z naszymi przyzwyczajeniami lekturowymi – nie bójmy się tego powiedzieć: nieco zaściankowymi – niekoniecznie jest to zaletą. Jesteśmy raczej skłonni uznać, że pisarka wybiera tematy zbyt chaotycznie, jakby nerwowo chciała wstrzelić się w jakiś gorący temat, który przyciągnie uwagę czytelników. Niby nic w tym zdrożnego, ale w naszych oczach tego rodzaju taktyka przystaje bardziej do pisarstwa komercyjnego niż celującego w wybitność. Pisarze z tej wyższej półki na ogół budują się w zupełnie inny sposób: rozważnie zgłębiają jeden temat.

Tymczasem Tokarczuk w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy pojawia się chwilowa moda na parapsychologię, pisze *E.E.* (1995), powieść ezoteryczną (zresztą udaną), a potem w *Prawieku i innych czasach* (1996) „leci” Garcíą Márquezem. Kiedy w siłę rośnie ruch feministyczny, wydaje „fantazję” feministyczną *Anna In w grobowcach świata* (2006), natomiast gdy pojawia się moda na ekologię, pisze kryminał ekologiczny *Prowadź swój pług przez kości umarłych* (2009), oparty na ryzykownych założeniach etycznych, ale z powodzeniem sfilmowany i cieszący się dziś powodzeniem. Świat ma najwidoczniej inne oczekiwania, a Tokarczuk najlepiej spośród naszych pisarzy i pisarek potrafiła – i nadal potrafi – je odczytywać. Śmiało otwiera się na to, co dzieje się wokół niej, dociera do problemów i lęków uniwersalnych, nie zatapia bohaterów i narratorów swojej prozy w oceanie introwertycznych rozważań, tylko szuka klucza do opisanie tych lęków, a co za tym idzie – ich zrozumienia. I nawet jeśli ostatecznie nie da się ich opisać i zrozumieć, takie dążenie sprawia, że powstaje proza

intrygująca, bo współbrzmiąca z tym, co czytelnik sam widzi i czuje. Można chyba powiedzieć, że Tokarczuk – jako pisarka – nie wciąga czytelnika do świata narratorów swojej prozy, ale wychodzi z tą prozą do świata czytelników i odsłania im głębie spraw, którymi ich świat buzuje.

Dobry ruch

Zdaje się, że właśnie na tym opiera się niespodziewany międzynarodowy sukces *Biegunów*, za których Tokarczuk otrzymała wspomnianą Nagrodę Bookera. Okazało się nagle, że powieść opowiadająca o XIX-wiecznej sekcji rosyjskiej zyskuje na aktualności, ponieważ Tokarczuk przeczuła i potrafiła opisać sprawę, która tkwi w centrum lęków współczesnego czytelnika. Jest to tekst o pielgrzymowaniu, ale nie o pielgrzymowaniu jako konieczności religijnej czy formie modlitwy albo umartwiania się, tylko o potrzebie ruchu, która tkwi głęboko w człowieku. To jednak nie metoda zachowania zdrowia czy dobrej kondycji, tylko lek na zło, jakie czyha na człowieka. Bieguni naiwnie wierzyli, że uciekając, pozostając w nieustannym ruchu, uratują się przed szatanem, który chce ich zniszczyć, i że dzięki temu może nawet uniknąć śmierci.

Tokarczuk dostrzegła, że dzisiejszego człowieka dręczy lęk przed przyszłością, bo przeczuwa on zbliżającą się zagładę – spowodowaną a to złym obchodzeniem się z naturą, a to nienawiścią do innego człowieka, a to chciwością, a to politycznymi albo religijnymi namiętnościami. Zrozumiała też, że najłatwiej dostępnym lekiem na te obawy, czy wręcz przerażenie, jest

pozostawanie w ruchu – że współczesny człowiek ma chęć i potrzebę poruszania się, pod pozorem zabawy, wypoczynku (turystyka), konieczności duchowej (pielgrzymki). Ludzie pozostają w stanie nieustannego ruchu i nie widzą w tym nic niezwykłego – jeśli tylko nie są uchodźcami, a więc jeśli nie są do tego ruchu zmuszani. Unieruchomieni, czują dyskomfort, a nawet cierpią (może dlatego więźniów zamyka się w celach).

I od uświadomienia sobie tego faktu przez młodzieńką narratorkę rozpoczynają się *Bieguni*: „Mam kilka lat. Siedzę na parapecie (...). Nikogo nie ma; odeszli, zniknęli, słysząc jeszcze ich słabnące głosy, szurania, echa kroków i odległy śmiech. Za oknem – puste podwórze. Ciemność łagodnie spływa z nieba. Osiada na wszystkim jak czarna rosa. Najbardziej dotkliwy jest bezruch: gęsty, widzialny – zimny zmierzch i słabe światło sodowych lamp, grzęznące w mroku w odległości zaledwie metra od swego źródła. Nic się nie wydarza...”. Proste doświadczenie dzieciństwa, ale opowiedziane tak, że mogłaby to być opowieść więźnia – „najbardziej dotkliwy jest bezruch”! Nic dziwnego, że ta swobodnie skomponowana i napisana powieść składa się z feryi epizodów „podróżnych” (nie tylko zresztą w przestrzeni, ale i w czasie), by zakończyć się scenką z lotniska, gdzie spotykają się tłumy współczesnych nomadów, którzy obserwują się wzajemnie i rozmyślają o tym, że unieruchomienie to największa kara, a wręcz synonim śmierci.

Ostatni akapit *Biegunów* to taka obserwacja: „Stewardesy, piękne jak anioły, sprawdzają nasze kompetencje do podróży i łagodnym ruchem ręki pozwalają nam zanurzyć się w miękkich, wyłożonych dywanem krągłościach tunelu, który powiedzie nas na pokład samolotu i potem powietrzną, chłodną drogą w stronę nowych światów. W ich uśmiechu ukryta jest, jak się nam zdaje,

jakaś obietnica, że być może urodzimy się ponownie i tym razem będzie to właściwy czas i właściwe miejsce”. Co to znaczy? Narratorka szykuje się do wejścia na pokład samolotu i jest to jakby wejście do nieba: są anioły, jest miękki tunel, jak z opowieści tych, którzy nie umarli do końca i niby to zajrzeli do nieba, i jest obietnica odrodzenia. A więc podróż jest doświadczeniem niebiańskim – podpowiada nam narratorka powieści – które napędza koło życia i ratuje przed śmiercią.

Opus magnum

Podobnie rzecz się ma z ważną powieścią *Księgi Jakubowe* (2014), w której pod historycznym kostiumem kryje się cała masa analogii do współczesności. Przed tą książką wielka kariera światowa. Niezależnie od tego, jak kto ocenia *Księgi Jakubowe* – czy jako świetne, czy jako średnie, czy też nawet nie do końca średnie – nie ulega wątpliwości, że była to powieść najintensywniej zapowiadana i w konsekwencji tego najbardziej oczekiwana przez wszystkich zainteresowanych literaturą polską. A teraz – jako *opus magnum* noblistki – przez świat. Czemu? Bo potężna objętościowo, bo jest efektem kilkuletniej pracy i podróży autorki, bo opowiada intrygującą historię Jakuba Franka i jego wyznawców, a tym samym dotyka interesującego epizodu historii Polski i Środkowej Europy. Wszystko to prawda. Tyle tylko, że z ocenami kłopot.

Kiedy szykowałam się do pisania, wciąż pytano mnie (w ciągu kilku tygodni nie było chyba dnia spokoju), jaka jest ta powieść: dobra czy zła, a może średnia? Dodam, że pytały przede